

Dwa razy piętnaście

Temu pokoleniu nie obce są doświadczenia kapitalistycznego dwudziestolecia Polski międzywojennej: dzisiejsze trzydziestolatki miały w 1939 roku za sobą zaledwie kilka lat szkoły powszechnej i choć człowiek w tym wieku nie potrafi jeszcze świadomie wybierać, ale umie już oceniać. Najważniejsze zaś, że pamięta wiele.

Pożoga ostatniej wojny wywarła na tym pokoleniu niezatarte piętno. Bohaterstwo i cynizm, odwaga i oportunizm, okrucieństwo i strach, wysublimowane przez wojnę do najczystszej postaci, znane są nam aż nadto dobrze. Sam bowiem do tego pokolenia należę.

W trzecią niepodległość Polski weszliśmy jako piętnastoletnie młodzieńki, o młodości chmurnej i burzliwej, lecz z dostatecznym zapasem entuzjazmu i wypełniającą nas chęcią pełnego zaangażowania się. W co? W jaki sposób? To były sprawy dalsze. Na razie wiadomo była na pewno, że w Polsce.

Teraz doszło dalsze piętnaście lat. Nie były to również łatwe lata. Wielkie marzenia należało rozmieniać na drobne codziennych trudów i wyrzeczeń. Wspaniałe hasła należało weryfikować w świetle nie zawsze pozytywnych doświadczeń. Życie nie szczędziło goryczy i rozczarowań. Szkoła średnia, a potem studia uniwersyteckie. Niemal codziennie działało się coś, co podrywało nasze pojęcia i wyobrażenia o jutrze, które mieliśmy budować.

A jednak byliśmy zaangażowani w polityczne życie narodu bardziej, niż pokolenie, które obecnie dorasta. Garnęliśmy się do wszystkiego, co działo się wokół nas. Czuliśmy potrzebę naszej obecności. Chcieliśmy wiedzieć i współdziałać.

Polityczne organizacje młodzieżowe były wówczas liczne i rosły bardzo szybko. Na zebraniach nie mówiło się, jak często dziś bywa, o zorganizowaniu wieczorka tanecznego albo wycieczki turystycznej, ale dyskutowało się na tematy filozoficzne. Omawianie rozmaitych koncepcji pojmowania świata, rozgrzanie nowych terminów i pojęć filozoficznych, szukanie swego miejsca i roli w świecie, określanie swego światopoglądu — to nie były tematy tylko dla zebrań ZWM-u,

TUR-u czy WICI. Dyskutowano również w domach, nieraz przez całą noc.

Powiedział mi przed paru laty pewien wybitny uczony, że za największą klęskę pokolenia, które wchodzi w życie, uważa to, iż jako program stawia sobie apolityczność. Nie chce przy tym absolutnie zrozumieć, że taki program musi jego wynawców zepchnąć nieuchronnie na margines życia.

Żyjemy w świecie wielkich konfliktów. Bez przesady na naszych oczach decydują się losy świata, być albo nie być ludzkości. Żyjemy w sytuacji, która wymaga od każdego jasnego samookreślenia się wobec siebie, wobec innych, wobec wszystkiego, co się na świecie dzieje. Trzeba dokonać jasnego wyboru i wyciągnąć stąd wnioski. Liczyć bowiem można tylko na takich, którzy wiedzą czego chcą.

Sądzę, że moi rówieśnicy, ci, którzy angażowali się w rzeczywistość całą duszą, nie żałują dziś tego — choć przeszli przez niejedne rozczarowania i zawody. Przyniosły im one hart i siłę, dały doświadczenie i w końcu to miejsce w świecie, które dziś zajmują. Widzę, ich, tych trzydziestolatków, jak zajmują coraz odpowiedzialniejsze stanowiska w społeczeństwie. Oni nie są biernymi przedmiotami historii. Oni ją tworzą. Tamci, którzy patrzyli na nich z kpiącym uśmieszkiem i stali na boku, pozostali tam do dziś. Nie liczą się.

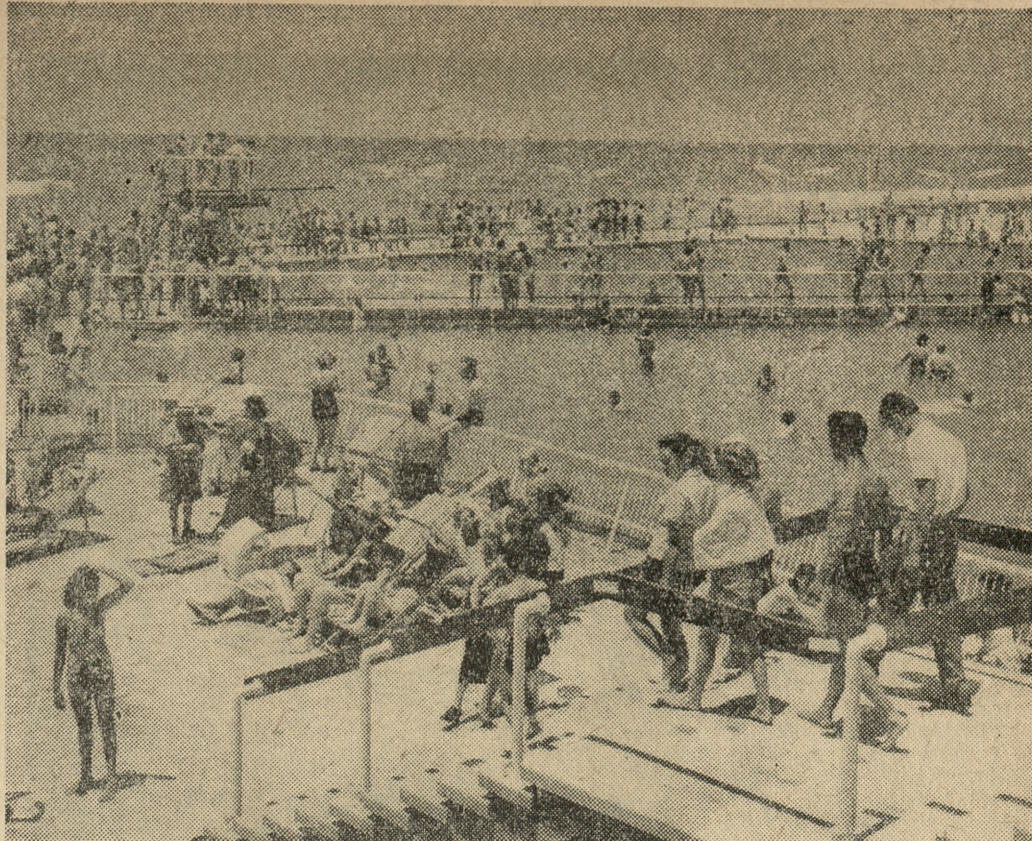
O ile młodzi mają dziś łatwiejszy start! Problemy, które przed nimi stają, są zgoła innego rzędu. Wynika to z prostego faktu, że dzisiaj młodzież uczy się i studiuje w warunkach normalnych. Myśmy zaczęli naukę, gdy całe państwo dźwigało się z gruzów. Przepelnione, nieregularnie kursujące pociągi (jazda na stopniach do szkoły nie była rzadkością), brak podręczników i pomocy naukowych, brak wykładowców, znacznie mniejsza niż dziś możliwość wyboru szkoły czy kierunku studiów takie z grubsza były te nasze warunki o których dzisiejsza młodzież nie ma nawet wyobrażenia. Warto się nad tym zastanowić, bo przecież dzięki czemuś tak się stało. Piętnaście lat Polski Ludowej coś jednak znaczą w codziennym życiu każdego jej obywatela.

Otwieramy nowe piętnastolecie. Będziemy znowu tworzyć rzeczy wielkie, prowadzić naród do nieznanego nigdy świetności. Właśnie, prowadzić. Kto będzie prowadził? Z pewnością nie ci, którzy patrzą na wszystko z boku i zajmują stanowiska biernych wykonawców, bo tej ostatniej roli nie pozbeda się nigdy, jako że tak dalece ze społeczeństwa wyizolować się nie można.

Kształt historii nadają ludzie, którzy umieją stworzyć programy i je realizować, którzy czynnie angażują się w życie. Na miejsce starych wchodzi młódz. Pokolenia dzisiejszych trzydziestolatków nie zimały ciężkie doświadczenia, które były ich udziałem. Nie zwątpili w człowieka, a nade wszystko w siebie samych. Czy podobnie dojrzałe będzie następne pokolenie? Czy może lepiej potrafi wyjść z konfliktów rozrywających dzisiaj świat? Ono samo o tym zadecyduje.

Będziemy mogli być spokojni o losy narodu wtedy, gdy będziemy widzieć szeregi młodych nie stroniących od życia społeczeństwa, interesujących się nie tylko kształtem uczesania i krojem spodni, ale przede wszystkim kształtem swego światopoglądu i krojem świata, w którym żyją.

Mieczysław Skąpski



Tak wygląda plaża nad Morzem Śródziemnym, w Tel-Awivie. Reportaż z Izraela czytaj na stronie trzeciej.

DELIKATNA SPRAWA TEATRU

Wiem, że poruszam rzeczy powszechnie znane. Tak znane, że nauczyliśmy się uśmiechać pobłażliwie i dowiecipkować na temat tzw. „rangi”. To już prawie nikogo nie porusza. To prawie anegdota.

I dlatego ucieszyłam się, że wbrew temu właśnie na łamach Waszego pisma pojawił się artykuł poruszający ten temat. (Głos Wielkopolski, 30. VI. 59). Na dziesiątej sesji Rady Narodowej m. Poznania poświęconej sprawom kultury naszego miasta, w toku dyskusji, za najważniejszy problem do rozwiązania uznano podniesienie rangi naszego miasta na forum krajowym.

Nic nowego od szeregu lat? Tylko pozornie. Narosły bowiem w naszym mieście nowe problemy, na firmamencie kulturalnym pojawiły się nowe zjawiska. Budzą optymizm, ale zarazem niepokój.

Przykład: dwa teatry dramatyczne w Poznaniu. Ostatni sezon pod kierownictwem Byrskich. Niewątpliwie osiągnięcia! Oczywiście nie mierzone liczbą sprzedanych biletów. I poczęt twórczego fermentu, poczęt niezbędnego warunków dla kulturalnego rozwoju.

A jakaż ocena?

Jedną z nich znaleźć można na łamach „Gazety Poznańskiej” z dnia 27/28. 6. br. w sprawozdaniu z ostatniej przedwakacyjnej dyskusji w klubie „Od Nowa” nad sztuką „Woyzeck”.

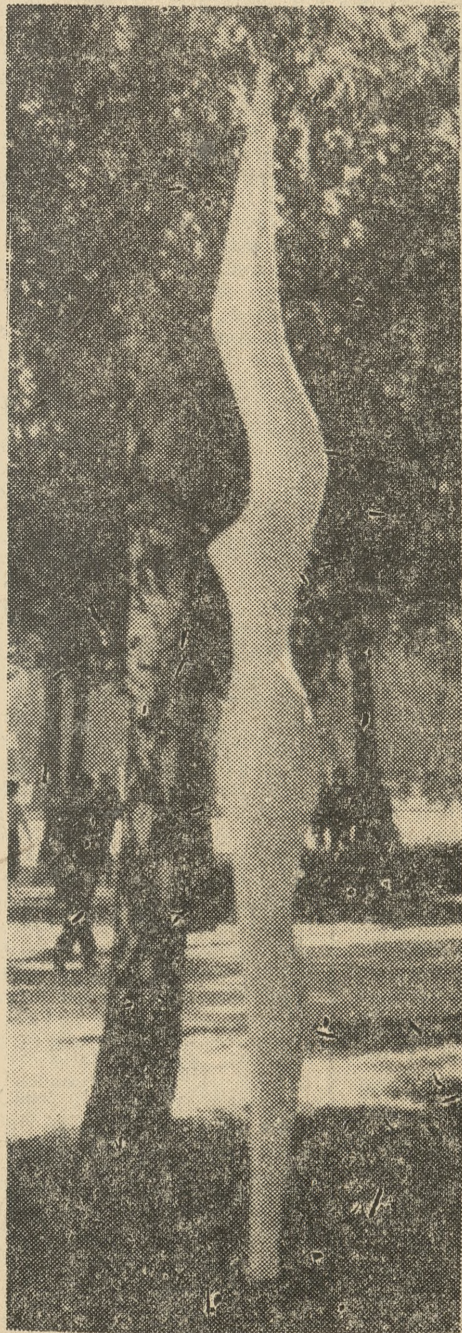
Zawarta w niej między innymi propozycja, aby dla smakoszy teatralnych delikatesów

róż” Szaniawskiego? „Kunszt miłości” Stadnickiego? Przecież to najwyklesza staroświeczczyna, grana na deskach scenicznych tak zwanej „Polski powiatowej”. A „Woyzeck”, nasz narodowy reper-tuar? A w końcu „Woyzeck” — dzieło może istotnie trudne z uwagi na swój głęboki filozoficzny podtekst, ale o bardzo zrozumiałej idei przewodniej; człowiekowi wyrządzono krzywdę. Niezwykle zawiła, na symbolikę, prawda? Podobno w lot pojawił ją dzieci z szkoły podstawowej, z zapadłej prowincji, które nie tyle z przypadku, ile z braku wyboru zapełniły widownię Teatru Nowego. I należałoby się nad tym faktem poważnie zastanowić, zamiast umieszczać go w rzędzie wesołych historyjek.

Artykuł dyskusyjny

zorganizować pewnego rodzaju pielgrzymki, do uświęconych już oficjalnym placet „mekk” naszego życia teatralnego, jak teatr Skuszanki czy Dejmką, a rezygnować z kosztownych miejscowych ambicji, ma dla mnie nieco dziwny posmak.

Podobny posmak mają od pewnego czasu tak licznie podnoszące się biadania nad trudnym, elitarnym rzekomo repertuarem teatrów dramatycznych Poznania. Pytam się: cóż to za teatr elitarny? „Nora” Ibsena?, „Freuda teoria snów” Cwojdzńskiego?, „Adwokat i



Ciekawy przykład rzeźby w plenerze z wystawy w Belgradzie. Fot.: E. Kizmann

Ryszard Danecki

POZNANIE NOCY



SREBRNA PESTKA książka w granatowym miąższu

ach kto zna owocu tego smak

dojrzeła na wiotkiej gałęzi spojrzenia bezskutecznie chwiejemy gałęzią kładziemy się wstawiamy kładziemy się

szybkie cięcia powiek odcinają gałąź ale nie

przeszczepiamy ją w oczy synów i córek

różowe soki zorzy barwią dojrzałą popielatość

i umierając nie odpowiemy kto rozpołowił owoc przecież widać srebrną pestkę jaką jest smak owocu

aż ciała nasze żółtkie miąższ nocy toczyć zaczęły

Rys.: St. Mrowiński

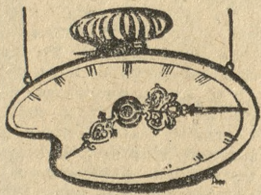
Eugeniusz Wachowiak

STACYJNY ZEGAR

GONI ZA MNĄ zegar czulkami wskazówek. Goni brzuch pękaty brzemieniami sekundami miażdżonymi machiną zębalek. Goni za mną zegar stacyjny chronometr drugiej klasy.

Widocznie źle być zawieszoną na gwoździu

żółta pełnia która dygoce nie wiadomo z zimna czy z przerażenia.



Niedaleko od Poznania, daleko od gwaru

Motor zachłystuje się i chrapie ale ciągnie czterdziestkę... Przejeżdżamy przez rynek w Kościanie i po kilkunastu minutach okólnym objazdem poprzez boczne drogi, jesteśmy w Racocie. Nagły skręt w lewo i rozpryskując błotniste kałuże, wpadamy na wyboje szczytowej szosy. Trzęsie i co chwila nos przylepia się do szyby samochodu. Mijamy kolejno Choryń, Kopaszewo i Jerkę...

Szosa otulona polami dojrzałych zbóż. Jeszcze widać wśród nich maki i modraki. Ale już rozpoczynają się żniwa. Aleje wiśniowe noszą ostatek ciężar owoców. A pod drzewami dywan oberwanych liści. Pokrywa je kurz i zapomnienie. Płyty słońca i przedburzowa parność wiszą w powietrzu. Chmury się kłębią i rozrywają monotonię horyzontu.

Nowy odcinek szosy i baldachim starodrzewia zamyka kopule z zielonych gałęzi i liści. Teren stale fałduje, zmienia kolory zielenie, żółć, brąz. Gdzieś tam kleks czerni lub bieli, a nad nami brudne cumulusy rozmazane w tasiemcowe formy. Błęska okular jeziora, to znów chłodna zielen lasu. Na ich ile jedna, dwie, trzy... dziesiąt samoty, szczupłych, białych odzianych brzoź kołysze koronami.

Ile tutaj zieleni, piachu i ciszy! Rzadko spotykamy człowieka: pcha rower obładowany koszykami z wiśniami albo babulenką spodnią obmienia ścieżkę przy rowie. Mijają nas dwie „Warszawy” i znów długą, długo droga jest pełna samotności. Wreszcie którymś zakretem przecina las i wypoczywa w jego chłodzie i cieniu. Pojedyncze sosny gęstwieją w głąb, zamykają się w plot, a później tworzą jednolitą, szaro-leśną ścianę.

Co kilka minut szosa przyjmuje młodszą i mniej reprezentatywną drogę i trakty: piaszczyste, porośnięte trawą i zielskiem lub ozdobione korzeniami i niebezpiecznymi kamieniami. Pełno dziur zalanych mazią błota lub kałużami przysypianymi popiołami nalożonymi kurzu. Czas jakiś towarzyszy nam z lewej strony tor dwukolejowy „ciuchci”, ale i on ginie w kolorowych drzeworytach pól i wznieść.



E. HAUPT

„Prawo ziemi”

W Lubiniu znów zmieniamy kierunek: na lewo, na wschód. Domy i zagrody miniaturowego miasteczka zapadają się w czasie i na ich miejsce wyskakują coraz to nowe widoki, jury, kotlinki i wyrzyszenia.

Przed nami przyczepa z nieokorowanymi pniami. Tańczy po drodze, zjeżdża z lewej na prawą stronę, blokuje drogę, uniemożliwia wyprzedzenie. Na uporczywe sygnały klaksonu zjeżdża wreszcie na prawo, ale w momencie przybliżenia się obu pojazdów, pyk traktora z żartobliwym „pykaniem” wyskakuje w lewo i przynajmniej nas do rowu. I znów uporczywy klakson spycha tańczący traktor, ale gdy podjeżdżamy do niego ostrożnie, z brezentowej budki traktora wychyla się smoluchowata twarz kierowcy i znów traktor zaczyna swój pijacki taniec po drodze. Ma chłopak uciechę, jest w tej chwili królem drogi. Od niego tylko zależy, czy zechce nas przepuścić i otworzyć drogę. Tańczy tak jeszcze kilka kilometrów. Wreszcie udaje się nam zaskoczyć go i na szerszym odcinku drogi przeskakujemy bokiem.

Mijamy Bieżyn i po kilku dalszych kilometrach piachów, leśnisk, wartów, ciągłych zmian biegnących, huśtawki i egzaminu resorów — dojeżdżamy do celu.

Tesknimy za atrakcyjnymi miejscowościami. Wyjeżdżamy do Zakopanego, Jastarni, ostatecznie do Kiekrza lub Puszczykowa. Tłoczmy się w pociągach, jak plaga spadamy na znane plaże i szlaki. Spotykamy tam te same, codzienne oglądane twarze, gwar i... nie możemy odpocząć. Tym-

czasem setki innych miejscowości w Wielkopolsce, tysiące „zapadłych dziur” i nieznanych nawet z mapy wiosek, może zapewnić nam doskonałszy i tańszy wypoczynek, ciszę, wspaniałe powietrze, widoki i odżywienie. Nauczmy się wyszukiwać takie właśnie zakątki, urządzajmy w nich biwaki, spróbujmy takich na własną rękę skombinowanych „wczasów pod gruszą”. Wiesz wielkopolska jest jeszcze nie odkryta. Na takich „zapadłych dziurach”, gdzie „świat deskami zabity” można naprawdę wypocząć.

Miał nosa ten, kto w cudownie położonym Cichowie zorganizował sanatorium dla dzieci. Olbrzymi, stary park pamięta niejedno. Wspomina i Adama Mickiewicza. W środku parku — polana pełna słońca, otwarta na jezioro w dole. Na polanie pałacyk murowany, w kwadracie zamyka swoje cztery skrzydła. Wewnątrz placzyk z kłombami na wzór rzymskiego atrium. Pora jest poobiednia, cicho więc w Cichowie i tylko ptaki i motyle zakłócają spokój. Ale w oknach ukazują się małe postacie w warkoczach, śmieją się radośnie, cieszą z przerwanej poobiedniej ciszy.

W Cichowie mieszka przeszło 60 nerwowo-chorych dzieci z całej Polski, które nabierają tutaj sił do życia, poznają urok dzieciństwa i piękno polskiej ziemi.

Odkrywajmy i my nasze Cichowa. Nabierajmy w nich sił, których nam tak bardzo jeszcze potrzeba, poznawajmy urok życia i to samo, chociaż wciąż nowe, piękno wielkopolskiej ziemi.

Czesław Kubalik

WŚRÓD KSIĄŻEK * WŚRÓD KSIĄŻEK * WŚRÓD KSIĄŻEK

Oczami historyka niemieckiego

Niedawno na półkach księgarskich w Niemciecej Republice Demokratycznej ukazała się, niezwykle nas Polaków, a szczególnie Wielkopolan, interesująca praca. Jest nią książka Feliksa Henryka Gentzena pt. „Grosspolen im Januaraufstand 1863/1864”. Autor tej jest profesorem uniwersytetu lipskiego i kierownikiem katedry historii Polski, znany jest jako poważny badacz dziejów ziem polskich pod zaborem pruskim.

Praca Gentzena jest pierwszą monografią zajmującą się sytuacją w Wielkopolsce w okresie powstania styczniowego. Autor wykorzystał większość źródeł znajdujących się w Polsce, a przede wszystkim bogate archiwalia niemieckie.

W rozdziale wstępnym autor zapoznaje czytelnika z rozwojem kapitalizmu w Wielkopolsce, zwracając uwagę na jego rolniczy charakter. Wiele miejsca poświęca ciężkiej sytuacji materialnej chłopów i robotników rolnych po uwłaszczeniu z 1823 roku. Na dalszych stronach szczegółowo zajmujemy się walką Polaków o utrzymanie odrębności narodowej. Dalej Gentzen poprzez Wiosnę Ludów wprowadza czytelnika w okres bezpośrednio poprzedzający wydarzenia 1863 roku. Silnie rozwijając się w Królestwie Kongresowym nastroje rewolucyjne ożywiały wpływowały na Wielkopolskę. Wśród chłopów i drobniemiędzy ruch narodowy zataczał coraz szersze kręgi. Podobnie jak w poprzednim okresie kierownictwo w nim przejęła szlachta wielkopolska. W latach 1861 i 1862 Poznańskie stało się widowiskiem ostrych starć ludności polskiej z nacjonalistycznymi nastrojami Niemcami, wspieranymi przez żandarmerię i wojsko.

Charakterystyczne same wydarzenia rozgrywane się w Wielkopolsce w czasie walk na terenie Królestwa, autor podkreśla rolę mas ludowych w niesieniu pomocy rodakom zza kordonu. Akcentuje tutaj wielki wysiłek organizacyjny Wielkopolan, którzy nie zwracając uwagi na z dnia na dzień narastającą trudność, przewozili przez silnie strzeżoną granicę broń, proch, umundurowanie i żywność. Poza tym ukrywano rannych i naprowadzających ochotników. Autor bardzo ostro piętnuje zachowanie się żołnierzy i żandarmerii, którzy byli postrachem ludności polskiej zamieszkującej powiaty nadgraniczne (brutalne rewizje i aresztowania stały na porządku dziennym).

Analizując postawę rządu pruskiego, historyk niemiecki nie kryje swego oburzenia dla bezprawnych wystąpień przeciwko osobom udzielającym pomocy powstańcom. Ostatni rozdział Gentzen poświęca stosunkom niemieckiej demokracji do polskiego ruchu narodowo-wyzwoleńczego.

Przy czytaniu tej interesującej i tak obiektywnie napisanej książki nasuwa się jednak kilka uwag krytycznych. Gentzen w rozdziale pt. „Powstanie styczniowe i niemiecka demokracja” — wydaje się — przecenia nastroje propowstańcze w Niemczech. Niewątpliwie wśród Niemców byli tacy ludzie jak Jan Metzger, lekarz leszczyński, wielki przyjaciel Polaków, Adolf Henryk Strodtmann, twórca potywałskiego wiersza pt. „Für Polen”, czy znakomity prawnik profesor Rudolf Gneist, główny obrońca Polaków

sądzonych w Berlinie za niesienie pomocy powstaniu. Niestety byli oni osamotnieni i nie posiadali wpływu na rozgrywane się wydarzenia. Nie zdołali także wzbudzić powszechnego entuzjazmu dla sprawy polskiej. Karol Marks i Fryderyk Engels nie ograniczali się do piórociennych deklaracji, lecz współdziałali w tworzeniu legionu niemieckiego, który nieśmiało pomógł Polakom. Starania te zakończyły się jednak całkowitym niepowodzeniem.

Nie brak i w pracy drobniejszych uchybień jak np. pochopna charakterystyka „Dziennika Poznańskiego” jako czasopisma konserwatywnego. Autor poglądy swój

opiera nie na kilku rocznikach tego pisma, a jedynie na sporadycznych artykułach zamieszczanych w sprawozdaniach władz administracyjnych, bądź policyjnych. Tymczasem „Dziennik Poznański” w owym czasie był utrzymywany w duchu liberalnym. Angażował się poważnie w walce z elementami ultrareakcyjnymi i klerykalnymi, reprezentowanymi przez „Tygodnik Katolicki”. Pismo to dosłownie na kilka dni przed wybuchem powstania obrzuciło błotem przygotowującą się do starcia z zaborcą rosyjskim młodzież Królestwa. W jej to obronie stanął „Dziennik Poznański”.

Usterki te oczywiście nie odbierają wartości pracy F. H. Gentzena.

Lech Trzeciakowski

Życie duże i małe

Spotkania z pisarską twórczością Wilhelma Macha są zawsze miłą niespodzianką. Wydana ostatnio jego powieść „Życie duże i małe” otrzymała pierwszą nagrodę na ogólnopolskim konkursie literackim „Wydawnictwa Łódzkiego”. Książka nie duża, napisana wyjątkowo pięknym i prostym językiem, opowiada o zwyczajnych sprawach „wielkiego” życia, widzianego i odczuwanego wrażliwą psychiką dziecka.

Mach jest czułym i subtelny pisarzem: charaktery bohaterów

książki są pokazane ciekawie, z psychologiczną wnikliwością.

Świat ukazany przez pryzmat dziecięcej wrażliwości Stefka jest innym światem, różnym od otaczającego nas i znanej nam rzeczywistości — a równocześnie bardzo bliski i odkrywczy. Pisarz odkopuje wspomnienia dzieciństwa, pierwsze zetknięcia się z bogactwem świata i brutalnością życia, zapoznaje nas ze sprawami ludzi dorosłych, które dziecko nie zawsze jeszcze rozumie. Równocześnie „Życie duże i małe” jest pięknym eposem miłości dziecka do ojca.

Książka napisana z dużym ładunkiem humoru; pisarz doskonale rozkłada akcenty dramatyczne, trzymając czytelnika w stałym napięciu. Naprawdę przyjemna i dobra lektura.

Cz. K.

DELIKATNA SPRAWA TEATRU

(Dokończenie ze str. 1)

gład na ideową postawę autora „Woyzecka”. Można dopatrywać się jakiegoś osobistego rozdarcia wewnętrznego między wielkością zamierzeń ludzkich a niemożnością opanowania fizjologicznej potrzeby i suponować je Büchnerowi jako swego rodzaju obsesję. Można usłyszeć w jego dziełach głos krzywdy społecznej. Jedno pozostaje niezmiennie i zrozumiałe nawet dla dziecka. Na scenie chodzi smutny człowiek. Myślący człowiek. Został skrzywdzony. Nawet przez najbliższych mu ludzi. Bardzo zakłany problem, prawda?

A gdy ponadto przypomni nam tak rzadko oglądany na naszych scenach wyrównany poziom gry aktorskiej, konsekwentną koncepcję reżysera (jakby teatr w teatrze; osłabiając brutalną dosłowność wielu scen i sytuacji jeszcze bardziej pogłębia tragiczną wymowę sztuki: krzywdą dzieje się jeszcze stale człowiekowi) w przedziwnej harmonii tekstu, wizji plastycznej, muzyki — to czy istotnie nie powinniśmy się szczyścić tą polską prapremierą na poznańskim terenie?

Podaję tu tylko moją, jak najbardziej laicką ocenę. Ot, taka próbka przekazania wrażenia po obejrzeniu „Woyzecka” przez pospolitego zjadacza chleba, który ma nadzieję, że dobry teatr przerobi go w anioła. Czy się nie zawiedzie? Czyż jego „uświadomiona konieczność” zostanie wyjątkowo ograniczona do prawa wyboru między hulankami a swawolą?

I kto ośmieli się przyjąć za to odpowiedzialność? I czyż ta „walka o rangę” to nie tylko „słowa, słowa, słowa...”, które z tak aktualną ironią brzmiały niedawno na deskach Teatru Polskiego, wbrew woli tych, którzy by chcieli widzieć w „Weselu” teatr już tylko historyczny?

P.S. Jeszcze przed wysłaniem tego listu zdążyłam przeczytać zamieszczoną w „Gazecie Poznańskiej” z dnia 7 lipca br. „obronę poznańskiego widza teatralnego”, pióra p. Szczepana Gąssowskiego. Uważając się chyba słusznie za jedną z podopiecznych gorliwego mecenasa, ze smutkiem muszę stwierdzić, że wszystkie przytoczone na obronę argumenty w niezamierzony sposób stały się raczej oskarżeniem. Bo otóż coż wynika w ostatnim rozrachunku widza poznańskiego z teatrem przedstawionym nam przez p. Gąssowskiego? Przecież sam przyznaje, że „tegoż widza nie potrafiły zdobyć ani sztuki klasycznej, ani współczesne, ani dżensizacja tradycje, ani nowatorskie, ani próba głaska nia widza („Kunst miłości”), ani jego prowokacja („Wesele”). Już sama różnorodność repertuaru, koncepcji reżyserkich i scenograficznych stanowi chyba najdobitniejszy dowód wyjścia naprzeciw widzowi ze strony kierownictwa teatru.

A jeśli mimo to, widz stoni od teatru, jeśli szuka w nim tylko łatwej rozrywki, a teatr stawia problemy i żąda myślenia wtedy widz zapelnia tłumnie salę operetki i rewii. Ale trudno żądać tylko od teatru, aby zdobywał każdego widza.

Osobiście sędzę, że czas pracuje na rzecz wielkiego teatru. Ale trzeba pozwolić mu upłynąć. Rok, to chyba zbyt krótki okres dla wysuwania wniosków. Jeśli jednak sam autor „obrony” przyznaje, że ostatnia w sezonie premiera „jest niewątpliwie ciekawa i nowatorska”, a mimo wszystko przedstawieniach „...widzów niemal na palcach można było liczyć”, to chyba najwyższy czas, aby uzdrawiać. Ale chyba nie teatr...

Wiktor Tulejszy

Wiesława Stypa

Wędrowki po starym Poznaniu

WOKULSKI znad WARTY

czajaco skutecznie miasto od zachodu, tego najbliższego. Można ją było jedynie obejść od północy, doliną Bogdanki, lub też od południa wspinając się w stronę wzgórza św. Józefa. Gdy więc zaczęło się rozwijać nowe miasto na Muszej Górze (plac Wolności) i ku Pełowi (Kundorf — Libelta), gdzie i rynek nowomiejski (plac Młodej Gwardii) założono, wtedy trzeba było przebiec przejażdżkę ze Starego Rynku ku placowi „Teatralnemu” (Wolności). Tak to w r. 1838 powstała ul. Nowa (Paderewskiego). Po kilku jednak już latach okazało się, że jedna ulica kłopotu komunikacyjnego miasta nie rozwiąże. Kłopotu, który zresztą do dziś dnia Poznań trapi.

I wtedy to właśnie pomóc usiłował prof. dr Józef Szafarekiewicz. Była to jedna z najciekawszych postaci Poznania i najzasłużniejszych w w. XIX. Urodzony 21 września 1831 w Gocanowie (pow. strzebiński), krzątał się i najruchliwiej działał bez przerwy przez lat siedemdziesiąt.

Do „szkół chadzał” zrazu w Trzemeszynie, a potem do Gimnazjum Marii Magdaleny w Poznaniu. Po maturze — trochę dość osobliwa — najpierw słuchał teologii w Fryburgu, wkrótce jednak przerzucił się na studium matematyki, fizyki, chemii i historii naturalnej. Studia zakończył stopniem doktora filozofii oraz egzaminem państwowym na nauczyciela „wyższego”. Od roku 1845 uczył w gimnazjum Marii Magdaleny, a w roku 1853 przeszedł do nowo utworzonej Szkoły Re-

alnej, wchodząc w skład jej pierwszego groma nauczającego.

Jeszcze jako nauczyciel, pisał „Historię naturalną dla szkół”, z drzeworytami, kilkakrotnie wydawaną. Jest członkiem towarzystwa przyrodniczego i należy do najbardziej lubianych prelegentów. Współpracuje też z Julianem Zaborowskim, który w latach 1856—1858 redaguje w Poznaniu pierwszy w Polsce tygodnik przyrodniczy pt. „Przyroda i Przemysł”. Osobny i piękny to odcinek złotego okresu kultury Poznania, naoczność „Aten Polskich” wieku XIX.

W roku 1862 wykupuje od wydawcy L. Merzbacha w Poznaniu wydawnictwo „Ziemianin”. I znów, dzięki jego niepożytej energii, głębokiej i rozległej wiedzy przyrodniczej oraz szerokim zainteresowaniom, stawia pismo na najwyższym na owe czasy poziomie naukowym (1862—1866). Z kwartalnika zamienia je na tygodnik. Dodajmy jeszcze, że w latach późniejszych był też profesorem Wyższej Szkoły Rolniczej im. Haliny w Zabikowie. Uczelnia ta, w okresie najpełniejszego swego rozkwitu (1875), miała 15 katedr, 7 docentur oraz 2 lektoraty — istniała lat sześć (1870—1875) i była uczelnia polską.

Wróćmy jednak do naszego profesora. W roku 1868 rezygnuje dr Szafarekiewicz z posady nauczyciela państwowego i buduje w Staroleśnej nowoczesną cegielnię, eksploatując przez siebie odkryte pokłady znakomitej gliny. Wprawdzie po pewnym czasie odstępuje cegielnię in-

nemu przedsiębiorcy, ale według słów dziejopisa — „odtąd budowanie stało się namiennością Szafarekiewiczów”. W końcu wyszedł na tym wszystkim co prawda jak „Zabłocki na mydle”, niemniej przebudował kamienicę na narożniku Wrocławskiej i Golebkiej, na końcu Grobli wznosił domy i zakładał ogrody, jego dziełem jest ul. Kopernika, podobnie i zakończenie ul. Strzeleckiej. Wybudował tam szereg trzypiętrowych kamienic.

I tak też dobiegliśmy do najciekawszego szczegółu naszej gawędy. Postanawia bowiem Szafarekiewicz usprawnić komunikację starego miasta z Al. Marcinkowskiej (Wilhelmską). Projektuje więc coś w rodzaju pasaży z ul. Koźiej przez teren kamienicy na tyłach Bazaru, oraz postanawia przekopać górę zamkową i połączyć ul. Franciszkańską z Al. Alejami. Użytkownicy pozwolenie magistratu, własnym sumptem rozpoczął prace ziemne. Góra zamkowa była jeszcze wtedy (ok. 1870 r.) wcale pokaznym wzgórzem. Kilkuletnie prace dały w wyniku poważne zlagodzenie wyniesienia na zapleczu Pałacu Działyńskich, między zamkiem a kościołem. Wtedy, też, pod koniec zeszłego wieku, dobudowano przed kościołem franciszkańskim schody i taras.

Projektu jednak nie udało się profesowi zrealizować. Prace ziemne strawiły prawie całe jego zasoby finansowe, teren był twarzą i giniący, robocizna rosła. A co gorsza, kamienicznicy przy Al. Marcinkowskiej, których nieruchomości należało wyburzyć, stawiali tak wygórowane warunki wykupu swoich ruder, że trzeba było zrezygnować.

Trudno wymienić wszystkie zasługi i godności społeczne Szafarekiewicza. Pedagog, wychowawca i społecznik. „Przejechał przez wóz na ulicy Wrocławskiej, w kilka dni później umarł” — dnia 27 lipca 1892.

Non nobis, sed patriae vivimus!

Sałatka z Chlorelli?

Dwa tygodnie temu zamieściliśmy tekst rozmowy z fizjologiem prof. dr. Missiuro. Obecnie drukujemy (w skrócie) drugi wywiad Stefana Henela i Wacława Mrowińskiego na temat „jak odżywiać się będą nasze wnuki”. Odpowiada prof. dr Eugeniusz Pijanowski, specjalista w zakresie technologii środków żywności. Okazuje się, że Janusz i Maria A. D. 2059 będą najprawdopodobniej jadać... zresztą — przeczytajcie sami.

— Czy wróży Pan naszej parze wegetarianizm?

— Bez paniki, redaktorze. Będą nadal jadać mięso, tylko, rzekłbym, nieco sensowniej. Przewiduję zmierzch wiewprzowiny, zapowiadam karierę drobiu. Produkcja jego jest nie tylko najszybsza, ale i najekonomiczniejsza, oczywiście, jak dotychczas, nie u nas. Na przykład dla wyprodukowania 1 kg drobiu zużywamy ciągle o 100 procent więcej suchej paszy niż w USA czy NRF.

— Czy za czasów Janusza i Marii znikną już ze świata świni?

— Bez dwuznaczników, panowie. Świnia, jako stworzenie wszytkożerne, stanowi do pewnego stopnia konkurencję dla człowieka. Przekształca mianowicie na własne białko i tłuszcz analogiczne składniki pożywienia, które ekonomiczniej byłoby bezpośrednio przeznaczyć na pożytk ludzki. Krowa wprawdzie przekształca składniki paszy na własne ciało, jednak stosunkowo oszczędnie przekształca białka paszy na białka wydzielane w mleku i, co najważniejsze, jakby w sposób cudowny, przemienia prawie bezwartościowe dla nieprzeżuwaczy, polisacharydy w rodzaju błonnika i pentozanów — na tłuszcz.

Jednakże zwiększonego apetytu pomnożonego narodu nie może pokryć wyłącznie produkcja rolna. Musimy zmniejszyć psucie się surowców i marnotrawstwo żywnościowe przez ulepszenie metod transportu i przechowywania, przez ulepszenie i usprawnienie metod stosowanych w przemyśle przetwórczym, gastronomicznym, no i w domu.

Wszystkie te korekty co do żywności pozwolą już wyżyć dwakroć większą liczbę ludności Polski.

— Czy to aby nie za mało jak na potrzeby Janusza i Marii z roku 2059?

— Za mało. Ludzie będą musieli sięgnąć w głąb mórz i oceanów, i to nie tylko po ryby, których zresztą będziemy łowić znacznie więcej. Rozpocznie się uprawa dna

morskiego, nawet przy używaniu nawozów mineralnych. Pomysłne próby przeprowadzono już w Anglii, w zatoce Cardigan (Walia). Japonia od dawna też wykorzystuje rozmaite wodorosty dla celów spożywczych. Doświadczenia prowadzone m. in. w Waszyngtonie przez Fundację Carnagie wykazują możliwość osiągnięcia fantastycznych ilości białka w przeliczeniu na jednostkę powierzchni „uprawy” wodnej jednego z glonów zielonych, chlorelli: 40—50 ton z 1 ha rocznie! Znaczący to, że obszar kultury wodnej o powierzchni np. 7 tysięcy ha mógłby dać rocznie do 300 tysięcy ton samego białka, czyli ilość niezbędną dla wyżywienia 10 milionów ludzi. Te liczby mówią chyba dostatecznie o możliwościach chlorellowego PGR-u w przyszłości.

— A zatem nie będzie kłopotów z wyżywieniem naszej pary w podróży kosmicznych. Stój z wodą doprawioną solami mineralnymi plus chlorella wystarczy na całe poletko.

— Co więcej, chlorella będzie w czasie takiej podróży pochłaniać niebezpieczny dla człowieka dwutlenek węgla i wydzielać niezbędny dlań tlen.

— Stopniowo będzie się rozwijać również syntetyczna produkcja tłuszczów i węglowodanów. Już dziś można uzyskać cukier z wody i dwutlenek węgla w próbówce, na razie jeszcze przy współudziale enzymów. Przed pół wiekiem Emil Fischer podjął, uwieńczoną sukcesem próbę uzyskiwania jakby sztucznego białka (polipeptydu). Oczywiście synteza wielkiej cząsteczki białka jest sprawą przyszłości.

— Czy należy rozumieć, że w owym czasie restauracje upodobią się do apteki, kucharek do laboranta, a obiad do fiołki z pigułkami?

— Zapotrzebowanie kaloryczno-odżywcze człowieka w owej epoce musi wynosić minimum 2500—3000 kilo-kalorii. Dziś, jutro i zawsze — jeden gram węglowodanów lub białka dostarczy organizmowi zaledwie 4—4,5 kilokalorii, podczas gdy gram tłuszczu 9—9,5 kilokalorii. Tego nie można zmienić, nawet gdyby człowiek mógł się odżywiać prochem czy dynamitem...

— Nie ma więc powodów do obaw, że obiad Janusza i Marii utraci cechy tak miłe ludzkiemu upodobaniu?

— Bez obaw. Jeżeli nie mamy ulec degeneracji, pożywienie nasze musi zawierać nie tylko podstawowe składniki, lecz także musi mieć wygląd, smak i zapach. Poza tym intensywna praca umysłowa naszej pary i towarzyszące jej słany zmęczenia psychicznego wymagają będą pożywienia lekkiego, łatwego strawnego, bardzo pożywnego a jednocześnie bardzo urozmaiconego.

— Możemy więc być całkowicie spokojni o żołądki naszej pary...

— Mogę panom zaręczyć, że wolałbym być zaproszony na jakiś „chlorellowy obiad” do Janusza i Marii w roku 2059, aniżeli zasiąść przy stole naszej przeciętnej restauracji.

(Wit-Ar)



Liliputy ciągle jeszcze zdobywają rynki zbytu. W Wielkiej Brytanii ostatnio wyprodukowany został liliput wyścigowo-sportowy. Przy prędkości 130 km na godzinę spala tylko 3 litry benzyny na 100 km, przy czym zabiera 3 pasażerów. Koszt eksploatacji jest niewielki. Cena — poniżej 1000 funtów. (ac)

Nowości z kraju i ze świata

Wzrując się na metodach stosowanych przy eksploatacji łupków bitumicznych w Nevada, nauczyciele kanadyjscy zamierzają ekspluatować złoża roponośnego piasku bitumicznego. Piaski te zalegają na obszarze ok. 17 tys. mil kwadratowych i jak oceniają fachowcy — zawierają ok. 600 mld. beczek ropy (dla porównania — złoża ropy na Środkowym Wschodzie ocenia się na 200 mld. beczek). Złoża roponośne są ułożone pod ziemią i nauczyciele zamierzają je wydobyć przy pomocy podziemnych eksplozji atomowych. Wybuch bomby wywoła wstrząs i wysoką temperaturę, wskutek czego ropa odłączy się od piasków i spłynie do krateru podziemnego stworzonego siłą wybuchu. W ciągu 2 lat ro-

pa wystygnie, pozbędzie się promieniotwórczości i da się wypompować na powierzchnię.

W Anglii opracowuje się plan budowy naddźwiękowych samolotów transportowych. Najwybitniejsi konstruktorzy i rzeczoznawcy zastanawiają się nad optymalnymi wymiarami, kształtem i szybkością transportowców. Przewidywany nowy typ samolotu ma osiągnąć 1500 km/godz., lub nawet dwukrotną szybkość dźwięku oraz zabierać 150 pasażerów.

Komisja sprzeciwiła się budowie samolotu o szybkości trzykrotnie większej od dźwięku (3.200 km/godz.) Zbyt wiele kłopotów sprawiłaby wówczas budowa już nie tylko samolotów, ale i lotnisk — trudno też byłoby dostosować się do międzynarodowych przepisów regulujących komunikację powietrzną. (K)



Nowoczesna architektura Tel-Awivu



Pochód karnawałowy podczas święta Purim

JUBILACI

Z niewyraźną miną w roku 1943 przekraczałam granicę transjordanсько-palestyńską.

Wychowana w specyficznej atmosferze Poznania, zagadnienia Żydostwa znalazłam tylko z teorii. Były ekscesy na uniwersytetach i pogromy w kresowych miasteczkach. Żyliśmy obok siebie, wspólnie cierpieli, wielu Żydów okazywało Polsce więcej niż lojalność. Jednym z najbardziej wzruszających piewów naszej ziemi był Żyd Julian Tuwim. Żydem był Janusz Korczak — wzór lekarza i pedagoga, autor „Króla Maciusia I”, cichy bohater, który powierzonym sobie sierotom towarzyszył aż do grobu. Ludwik Hirszfeld — uczony na skalę światową; gdy się czyta „Historię jednego życia” nie wiadomo nad czym więcej cierpieć i co tragiczniej przeżywać... Czy beściałstwo zarządzanej przez Hitlera eksterminacji Żydów, czy bankructwo wiary w uszlachetniającą moc nauki, czy w końcu fakt, że on czujący się na wskroś Polakiem, został tego duchowego obywatelstwa polskiego w czasie okupacji pozbawiony.

A jednak gdy przyszło do ostatniego oficjalnego posiedzenia Gminy w Getcie warszawskim 1 lipca 1942 r. — zebrani w liczbie kilkuset osób zaśpiewali „Jeszcze Polska nie zginęła”...

*

„Pomni historycznych i tradycyjnych więzów z prastarą Ojczyzną, dążyli Żydzi we wszystkich pokoleniach do powrotu do Ziemi Izraela, a w ostatnich dziesięcioleciach poczęli tłumnie wracać do swojego kraju. Repatrianci — pionierzy odbudowy kraju i jego obrońcy — stanęli do walki z pustynią, wskrzesili mowę hebrajską, wznieśli wsie i miasta i stworzyli nowe, wciąż rosnące społeczeństwo żydowskie, milujące pokój a zarazem gotowe do obrony swojej egzystencji, obdarzające wszystkich mieszkańców kraju błogosławieństwem postępu i dążące wytrwale ku u-

rzeczywistaniu ideału niepodległości państwowej.”

Jak wynika z treści tego wyjątku z Deklaracji Niepodległości ogłoszonej 14 maja 1948 r., powstała państwa Izraela poprzedzała długowieczna tęsknota do własnej ojczyzny. Obecnemu pokoleniu było dane zrealizować te marzenia...

Na brzegu Morza Śródziemnego — tuż pod boki Jaffy — kilkadziesiąt lat temu pionierzy żydowskiej państwa Izraela rozpoczęli budowę państwa. Odnajdując się ono najnowocześniejszą architekturą na Bliskim Wschodzie, ma szerokie asfaltowe ulice, place obsadzone palmami, drzewami i kwiatami, posiada uniwersytet, teatr, kina, bibliotekę, Zoo i Targi Lewantynskie. Obecnie Tel-Aviv obchodzi 40-lecie swego istnienia.

REPORTAŻ z IZRAELA

W 1959 r. niejedna młodziutka Polka czy Polak obchodzi 15-lecie swego urodzenia w Tel-Awivie.

Jak wspominałam na wstępie, niepełną nogą wkraczałam na ziemię żydowską. Wyjazd do Palestyny poprzedzały jeszcze na terenie pustyni arabskiej pogadanki oficerów oświatowych, nawołujące do zachowania spokoju. To jeszcze bardziej pogłębiało czujność.

A tymczasem... już pierwszego dnia pobytu w Palestynie w Rechowodzie zaskoczyła nas schludna kelnerka. Na widok naszych mundurów, sprzedając życzenia spytała troche łamaną polszczyzną: „A państwo to na pewno jajecznie z ziemniakami i kwaśne mleko”. Do brze snadź wiedziała czego jest spragniony polski żołnierz, nie siąciami na pustyni karmiony baraniną i ryżem.

Dzień po dniu nieufność zanikała, na każdym kroku spotykaliśmy się z uprzejmością, grzecznością, nawet serdecznością. W sklepach udzielano nam chętnie informacji płynącej polszczyzną, bądź w śmieszny sposób ją przekraczając. W autobusie ustępowano nam miejsca, a zdarzyło się, że stary Żyd wysiadł po to tylko, aby słabo orientującą się Polkę podprowadzić pod poszukiwany adres.

W pierwszym okresie mieszkaliśmy w Rechowodzie, w starej dzielnicy Szaraje u jemeńskiej rodziny Dżubany. Żydzi z Jemenu odznaczają się ciemną skórą i różnią się bardzo od Żydów europejskich.

Trudno się z nimi porozumieć, bo nie znają żadnego języka, a nawet żargonu. Prymitywni i biedni — okazywali sympatię po swojemu. Już z rana mała Rachula wołała „Szalom geweret” (dzieńdobry pani). Stary aba (ojciec), wracając z pracy nieodmiennie kładł mi na wycieraczce do nóg 3 pomarańcze. To nic, że tam ich kilo jest tańsze od pudełka zapalek w Polsce; rozumiałam, że chciał czymś zadokumentować swój przychylny stosunek do mnie. Stara ima (matka) wieczorem uspokajała dzieci: „szeket ingelend szeket geweret chce spać”. W tym czasie sasiadka z naprzeciwka, kulturalna pani Broner, reemigrantka z Austrii, starała się czym mogła pomóc w moim nowo skłecionym gospodarstwie. Kwiatki po ustawiała na oknie, komode pożyczyla, żelazko służyło nam wspólnie. Niejedną kawę po wiedeńsku wypiliśmy przy tych dobrosąsiedzkich stosunkach...

Jakoś miło było z tymi Żydami — łączyły nas zwykłe ludzkie uczucia. A gdy już później leżałam w Tel-Awivie w Hadassah w wielkim szpitalu położniczym — po znalazłam jeszcze jeden typ Żyda, bodaj mi najbliższy i najbardziej zrozumiały. Mianowicie stale kręciły się koło mnie młode siostry tzw. „aszd” i gawędziłyśmy w miarę możliwości po polsku, francusku czy angielsku. Aż razu pewnego przyszła równie młoda i coś gniewnie do nich po hebrajsku zagadała, mierzając mnie nieprzychylnym spojrzeniem. Przetłumaczono mi, że powiedziała: „Czemu nie uczysz się po hebrajsku, skoro u nas gościsz?” Rozumiałam ją!

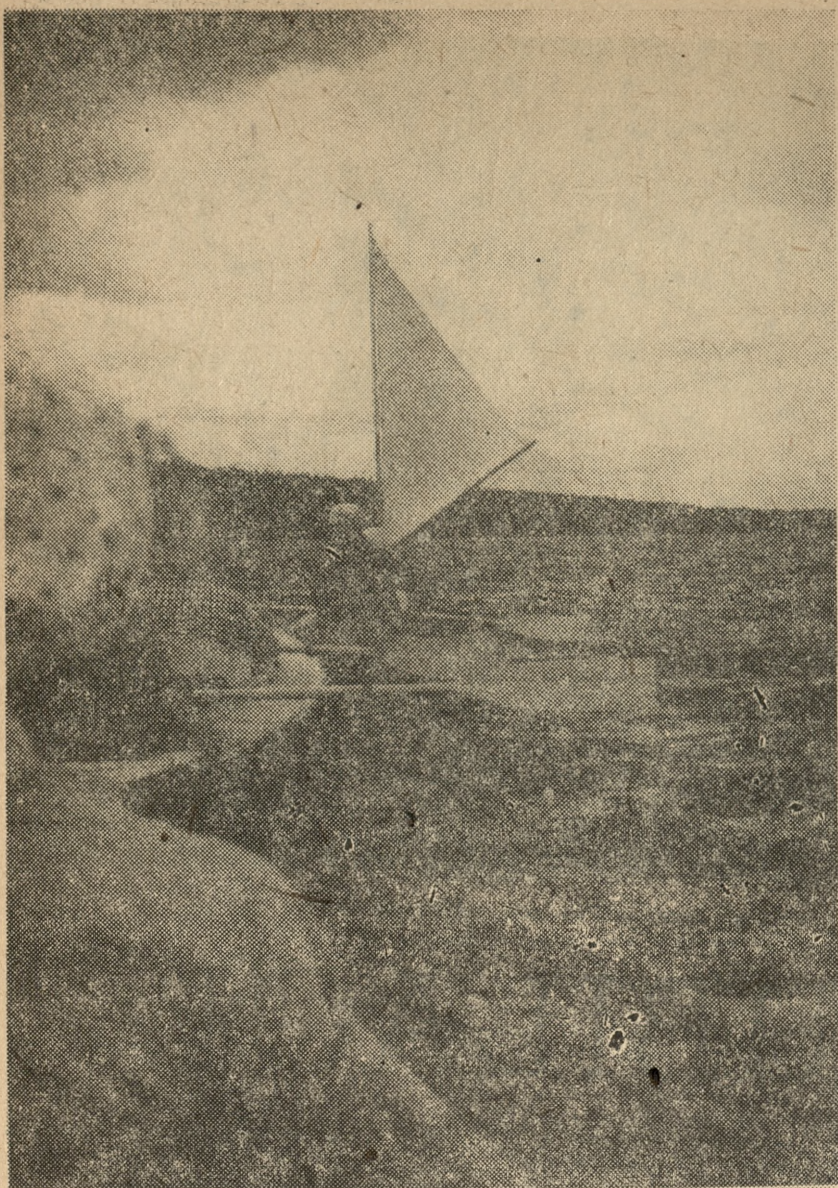
Dziś Tel-Aviv jest jubilatem, liczy 40 lat. Jego ulicami krąży młode pokolenie obywateli Izraela, dumnych ze swojej przeszłości — pełnych amoi-nych zamierzeń na przyszłość. Kraju opalona wysportowana młodzież z kibuców, warstwa Żydów w Polsce nieznana — pionierów pracy na roli.

Większość polskich dzieci urodzonych w Palestynie pozostała poza granicami Polski. O Wiesi Paciepnik — rówieśniczce mojej córki — pisze matka z Cambridge: „Moje największe żmucie, że Wiesia nie czuje się Polką”. Dla Jacka Poluszynskiego, rodzice zamieszkali pod Quebec nie proszą nawet o polskie książki. O Marysi i Hance Zembruskich z dalekiej Bolivi donosi matka: „Uczę ich trochę polskiego, aby bodaj ten język miały wspólny z nami”.

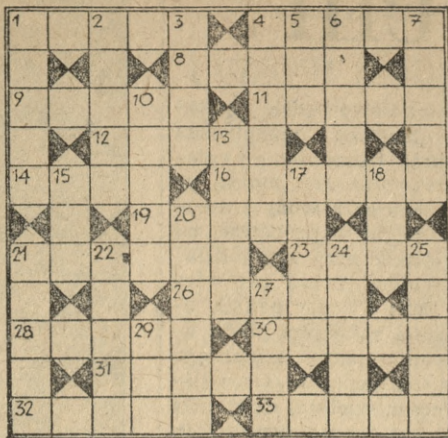
Moja 15-letnia córka z metryką urodzenia pisaną po hebrajsku — dumnie i z przekonaniem śpiewa: „Mysmy przyszłością narodu...”

I ci Żydzi, którzy wrócili do Izraela są inni. Skrzywiona psychika Żyda Wiecznego Tułacza, prostuje się pod wolnym niebem Izraela.

Krystyna Zgrzebnicka



KRZYŻÓWKA



POZIOMO: 1 — innowiercza grupa religijna, 4 — miejscowość na Mazurach, z której pochodził nasz sławny podróżnik morski, 8 — radziecki fotoapar. t 9 — pierwotniaki, 11 — zaczyna się w lewej komorze serca, 12 — mądry po szkodzi, 14 — miał więcej żebra, 16 — papierosy, 19 — internat, 21 — lennicy, 23 — przekazuje bodźce, 26 — największa nagroda filmowa w USA, 28 — droga, 30 — miasto w woj. olsztyńskim, 31 — dobre wino węgierskie, 32 — imię znanej autorki powieści kryminalnych, 33 — okrzyk, który wydajemy kiedy zobaczymy jakąś nieznaną rzecz.

PIONOWO: 1 — podziałka, 2 — znak żałoby, 3 — tytuł głośnej powieści Faulknera, 4 — mieszka w ziemi krakowskiej, 5-21, 6 — niemowlę owada, 7 — od tego słowa rozpoczął Żeromski „Popioły”, 10 — rewelacja, 13 — umieszczamy na kopercie, 15 — 1+1, 17 — tytuł znanego filmu polskiego, który ostatnio odnosi duże sukcesy za granicą, 18 — istnieje dziś tylko jako nazwa wina, 20 — mały afisz, 21 — ognisko góralskie, nazwę tę ma również znany lokal w Zakopanem, 22 — ubiór dawniej, 24 — muza poezji miłosnej, 25 — posąg, 27 — łóżko na łańcuchach, 29 — lubi mleko.

Rozwiązania prosimy nadsyłać do dnia 30 bm z dopiskiem „krzyżówka”.

fantazja CZY RZECZYWISTOŚĆ?

Opracował: A. TREPKA

ZA I PRZECIW

O to kilka danych o badaniach w różnych krajach: Olbrzymia ilość meldunków w 1954 r. we Francji nadała wielkiego rozgłosu sprawie przelotów niezidentyfikowanych obiektów latających. Pod naciskiem opinii publicznej premier Mendes France polecił wówczas utworzyć specjalną komisję badawczą, będącą organem Naukowego Biura Ministerstwa Lotnictwa. Komisja stwierdziła wiele bezspornych obserwacji „latających talerzy” jak również obserwacji ich lądowania, m. in. dwukrotnie na lotnisku w Marignane.

Ponadto w Paryżu ma swoją siedzibę słynna międzynarodowa komisja „Curance”. Kieruje nią Jimmy Cuilen, autor dwóch ciekawie napisanych książek na temat „latających spodków” z przedmową znanego powieściopisarza i dramaturga J. Cocteau. Komisja ta posiada specjalnych korespondentów niemal na całym świecie, prowadząc i koordynując badania w wielu krajach.

Obok jednego z najwybitniejszych rzeczników kosmicznego pochodzenia „latających talerzy” — prof. dr. Aime Michel, działają tam również uczeni, odrzucający te zagadnienia jako nie warte uwagi. Np. prof. Augo nazwał latające spodki „aerodynamicznym wydaniem węży morskiego”. Inny uczyony, prof. Evry oskarża świadków pojawienia się latających talerzy o „nieuczciwość intelektualną”.

Również w Anglii zanotowano bardzo wiele obserwacji. Dowódca Sił Lotniczych marszałek Lord Downing już w 1953 r. dysponował ponad dziesięcioma tysiącami raportów na ten temat. Oprócz wielu publikacji prasowych i radiowych, poczesne miejsce zajmują książki napisane przez Anglików. Jedną z nich jest książka Allingama „Flying Saucers of Amarna”. Pasją autora było obserwowanie nieba i ptaków przez lunetę. Po wnieg popołudnia, śledząc ptactwo na łąkach, zauważył spoczywający opodal nieznanego pojazdu. Dokonał wtedy serii zdjęć, z których 9 reprodukuje w wymienionej książce. Wśród nich intryguje fotografia rzekomego Marsjanina, który piekielnie spieszy się aby w porę dopaść do swego pojazdu... Czynniki urzędowe w Anglii stwarzają atmosferę tajemnicy wokół latających spodków. War Office wydało rozkaz do wszystkich pilotów aby pilnie obserwowali pojawienie się latających obiektów i składali szczegółowe raporty, równocześnie zabraniając udzielania informacji o zauważonych zjawiskach.

W NRF prowadzi się oficjalne badania, skoncentrowane w Düsseldorfie. O tym, jak bardzo częstymi gośćmi są w Niemczech latające spodki, pisze J. V. Arbt w książce „Untertassen über Deutschland”.

W Jugosławii poświęca się dużo uwagi problemowi niezidentyfikowanych obiektów latających. Badania te przy-

brały na sile od czasu, gdy Instytut Meteorologiczny w Lublianie zarejestrował przelot „wielkiego błyszczącego przedmiotu, który pędził po niebie z zawrotną szybkością”. Marszałek Tito polecił wówczas przeprowadzić szczegółowe dochodzenia i wzmocnić intensywność obserwacji na przyszłość, gdyż obiekt ten „decydując nie mieścił się w ramach zjawisk znanych lotnikom i meteorologom”.

W Genewie mieszczą się dwie organizacje, kierowane przez prof. Dr. Alfreda Nabena, filozofa i psychologa. Wspólnym ich programem jest domaganie się oficjalnego uznania „latających spodków” jako okretów przestrzeni, przybywających z innych planet, niezwłocznego zaprzestania eksperymentów z bombami atomowymi i wodorowymi, powszechnego rozbrojenia oraz pokoju i braterstwa między wszystkimi narodami.

W Japonii studia nad często pojawiającymi się tam niezidentyfikowanymi obiektami latającymi prowadzone są przez specjalne stowarzyszenie, dysponujące własnym w dawniejszym popularyzującym to zagadnienie. Jest rzeczą wartą podkreślenia iż — w przeciwieństwie do nas — w Japonii przejawia się olbrzymie zainteresowanie „latającymi spodkami”, traktując je jako problem naukowy pierwszorzędnej wagi. Prezesem towarzystwa jest wybitny uczyony prof. dr Hideo Itokawa z Uniwersytetu w Tokio. W swojej książce „Wycieczka w przestrzeń”, stwierdza on: „Jestem przekonany, że latające spodki przybywają z innych planet”.

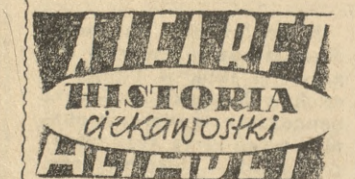
W Australii badania prowadzone są z wielkim rozmachem, zarówno przez czynniki oficjalne jak i prywatne organizacje. Działają tam specjalny komitet, składający się z dwunastu wybitnych uczonych. Australijski fizyk, prof. dr Merry Mossel napisał: „Nie sądzę, aby jakikolwiek odpowiedzialny uczyony na świecie mógł dziś powiedzieć, iż latające spodki nie istnieją”.

Wśród wielu ciekawych obserwacji na terenie Australii uderza wiadomość podana 22 października 1957 r. przez rozgłosie radiową w Melbourne. Kilka obserwatoriów astronomicznych zgodnie stwierdziło, iż w czasie przelotu pierwszego radzieckiego sputnika nad tym kontynentem towarzyszyły mu dwa duże latające talerze”, wyraźnie widoczne przez teleskop. Sputnik znajdował się w środku, a prędkość wszystkich trzech obiektów była idealnie zsynchronizowana.

(CIĄG DALSZY ZA TYDZIEŃ)

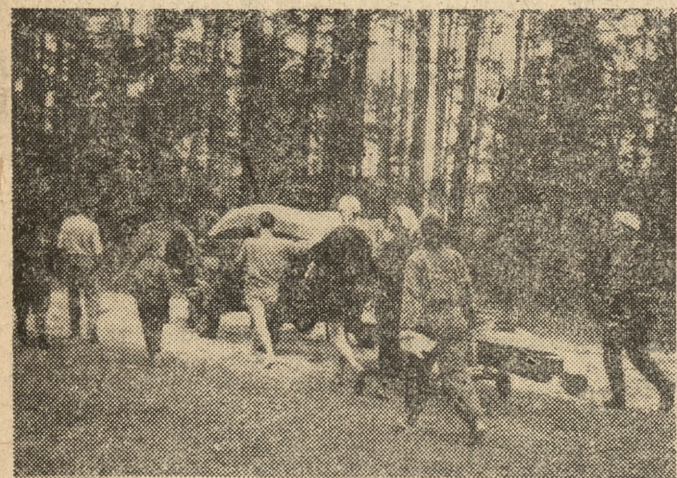
NADOLNIK — to częsta nazwa młyna: koło Chrzypyska (1399 r.), Margonina (1463 r.), w powiecie szamotulskim, pod Skokami (1566) w powiecie poznańskim, pod Murowaną Gośliną (1561-9) i pod Wronkami (1726 r.). Razem tych młynów było 15.

NADZIEJEWO w powiecie średzkim zapisane zostało w aktach pod rokiem 1487. Nazwa nie od nadziei, lecz od Nadzieja.



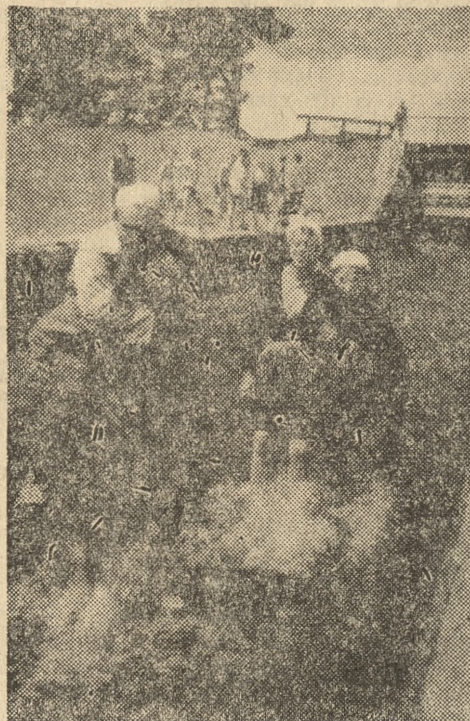
NAGRADOWICE w powiecie średzkim za 9 lat obchodzi 700-lecie! W XIII wieku „Nagrodrzynem” (tak brzmiała pierwotna nazwa — od nagrody) wadał niejaki Dobrogost. W XIV wieku mieszkał tu ród Nowińczyków.

NAMYSLAKI — niedaleko Ostrowa datowane w r. 1775. Dlaczego brak wcześniejszych dat? Bo prawdopodobnie Namyslaki wtenczas były Mysłakami (nie ma pewności!), tak jak Zanemyśl zwal się Niezamyślem. Pradziadowie niestety nie pozostawili słownika pozamienianych w dziejach nazw.



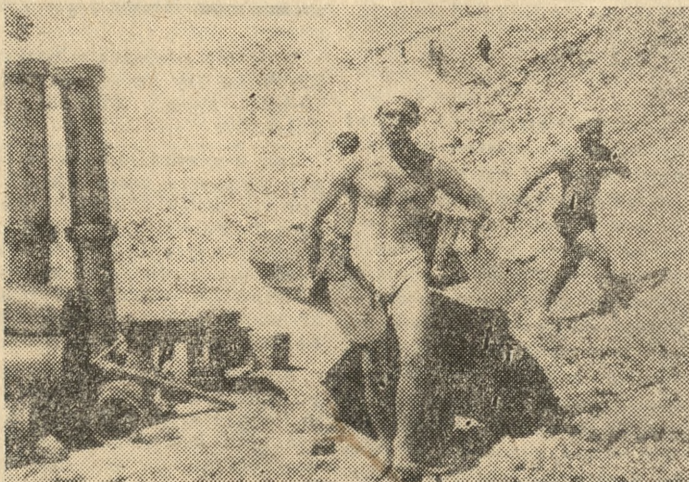
Turystyczna wyprawa kajakowa nie oznacza wcale, że się tylko płynie, płynie i płynie. Czasami trzeba drałować pieśzo.

Starym baranom zachciewa się dziecinnych wyglądu. Ale za to co za frajda!



Kajakami przez Sabarę? Nie, proszę państwa. Po prostu rzekę zagroziła potężna budowa nowej tamy.

Płynął:
M. Flejsierowicz



Komary są po to, żeby uprzykrzać człowiekowi wieczór, a gary i szorowanie — żeby na spływie nie było jak w raju.



Przy ognisku najlepiej omawia się wrażenia dnia i przygotowuje strategiczny plan działania na dalszą trasę. Jutro — znów płyniemy dalej.

